



Pojedynek w środku nocy

W obskurnej gospodzie panował straszny gwar. Robiło się późno, więc gości ciągle przybywało. Kiedy Martin przeklnął ostatni łyk swojego piwa i odstawił kufel na zaplamiony stół, przy którym siedział, do izby weszło trzech goblinów o spiczastych nosach, długich palcach i chytrych wyrazach twarzy. Rozejrzeli się po gospodzie w poszukiwaniu wolnego stolika. Po chwili usiedli nieopodal baru. Martin przez chwilę przyglądał się im z zainteresowaniem. Po raz pierwszy miał okazję na własne oczy zobaczyć te przedziwne i szpetne stworzenia.

— Jeszcze jedno, chłopcze? — spytał Ab Dumbledore, pod-

chodząc do stolika Martina i zabierając pusty kufel. Czarodziej pokręcił przecząco głową.

— Na mnie już pora — odrzekł, powstając. — Prakседа Ugglyfoot w każdej chwili może tutaj wrócić...

— Mało prawdopodobne — odparł z rozbawieniem karczmarz. — Powiedziałem dyniom przy wejściu, że mają uzreć ją w jej tłustą dupę, jak tylko znowu spróbuje tutaj wejść.

Martin zaśmiał się nerwowo. Spozstrzegł właśnie kątem oka, że przygląda mu się jakiś podejrzaný typ, palący fajkę kilka stolików dalej. Pożegnał się więc pospiesznie z Dumbledorem, upewnił się, że w kieszeni płaszczu spoczywa bezpiecznie zmieniacz czasu i ruszył w kierunku wyjścia.

— My się przypadkiem nie znamy? — spytał nagle jeden z goblinów, kiedy Martin przechodził akurat obok ich stolika. Dwaj pozostali zaczęli podejrzliwie mu się przyglądać.

— Nie sędzę — odrzekł z zaniepokojeniem Martin. — Jestem pierwszy raz w tych stronach...

— Twoja gęba wydaje mi się dziwnie znajoma — dodał drugi goblin, odstawiając kufel piwa i wiercąc czarodzieja przenikliwym spojrzeniem. Martin poczuł, że robi mu się gorąco. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby ktoś go teraz rozpoznał! Sięgnął niezauważenie do kieszeni płaszczu, aby w razie potrzeby szybko użyć różdżki. Od razu jednak skarcił się w duchu: *I tak nie znam zbyt wielu przydatnych na tę okoliczność zaklęć. W końcu jestem czarodziejem dopiero od niedawna.*

— Jakiś problem, chłopaki? — spytał barman, podchodząc do goblinów z tacą pełną pustych kufli. Martin wykorzystał ten moment i nie czekając na rozwój wydarzeń, pospiesznie zarzucił sobie kaptur na głowę i czmychnął z karczmy, nim ktokolwiek zdołał się zorientować.

Kiedy wyszedł na spowitą w ciemnościach uliczkę, z ulgą stwierdził, że deszcz przestał padać. Nadal wiał jednak nieprzy-

jemny, lodowaty wiatr, który przyprawiał go o dreszcze. Marszerowanie po kostki w błocie także nie należało do przyjemnych zajęć.

— Ciekawe, czy istnieje jakieś zaklęcie zmieniające pogodę — mruknął do siebie, kiedy po chwili marszu jego but ponownie zanurzył się w błocie, a lodowaty wiatr zdmuchnął mu kaptur z głowy. Obejrzał się za siebie i upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, ponownie narzucił go na głowę. Spojrzał na zegarek. Zbliżała się północ. — Lisa z pewnością już się położyła..

Już miał ruszyć w dalszą drogę, kiedy nagle z ciemności wyłoniła się jakaś postać. Zmaterializowała się tuż przed nim, a jej przybycie zwiastował trzask przywodzący na myśl łamanie suchej gałązki.

— Dokąd ci tak śpieszno, wędrowcze?! — spytał zaczepnie wysoki, chudy czarodziej z bujną szarą czupryną i długim, spiczastym nosem. Martin zamarł. Poczul, że żołądek podchodzi mu do gardła. Był to ten sam ciemny typ, który w gospodzie z zaciekawieniem mu się przyglądał

— Idę... idę do Trzech Miotel — odrzekł nieco roztrzęsionym głosem. — Mam tam się z kimś spotkać — skłamał.

— A co sprowadza do Hogsmeade przybysza z dalekiego kraju? — spytał czarodziej, a Martin dostrzegł złowieszczy błysk w jego oku. Jego ciało omiotły dreszcze.

— Pozwoli pan, że tą informację zostawię dla siebie — odrzekł i już miał ruszyć w kierunku głównej drogi, kiedy tajemniczy czarodziej wycelował w niego swoją różdżkę.

— Masz coś, czego bardzo potrzebuję, mugolu — syknął, a Martin pobladł na twarzy. Zdał sobie bowiem sprawę, że jest w kompletnie beznadziejnej sytuacji. Nie potrafił się pojedynkować, a w ciemnej uliczce nie było nikogo, kto mógłby mu przyjść z pomocą. Nie znał też żadnych zaklęć obronnych.

— Nie jestem mugolem — odrzekł, sięgając ostrożnie ręką do

kieszeni płaszcza, w poszukiwaniu różdżki. Nieznajomy zaśmiał się ponuro.

— Wiem doskonale kim jesteś, Martin — odrzekł kpiącym tonem. — Naprawdę sądzisz, że w starciu ze mną, różdżka ci się do czegoś przyda?

Martinowi zrobiło się niedobrze. Poczul się jakby żołądek wywinął mu się na lewą stronę.

— Nie mam za wiele czasu — kontynuował napastnik. — Po prostu oddaj mi zmieniacz czasu, a puszcę cię wolno.

W głowie Martina zaczęły kłębić się setki myśli. Tysiące pytań. *Kim jest ten koleś? Skąd wie kim jestem? Po cholere mu zmieniacz czasu?*

— Dobrze — odrzekł po chwili, z trudem przelękając ślinę. — Oddam ci go. Mam go w kieszeni...

— Jesteś całkiem rozsądny, jak na tępego mugola — zadrwił nieznajomy. Martin włożył dłoń do drugiej kieszeni, ale nie szukał w niej zmieniacza czasu. Wyczuł palcami woreczek z peruwiańskim proszkiem natychmiastowej ciemności. Zakupił to cudencko u Zonka, zaraz po przybyciu do Hogsmeade. *W końcu już raz dziś się przydał*, pomyślał.

— Skoro znasz moje imię — odrzekł, próbując opanować przerażenie. — zdradź mi swoje...

Napastnik obdarzył go pełnym politowania spojrzeniem.

— Raczej ta wiedza do niczego ci się już nie przyda, mugolu — odrzekł chłodno. — Ale jeśli chcesz wiedzieć, to nazywam się Travers. A teraz oddawaj zmieniacz czasu, bo powoli zacznę tracić cierpliwość...

Martin zacisnął dłoń ze szczyptą proszku.

— W takim razie, Travers — zaczął trzęsącym się głosem. — Zapamiętaj sobie, że NIE JESTEM ŻADNYM MUGOLEM!

Wykrzykując ostatnie słowa Martin wyciągnął dłoń z kieszeni i rzucił proszkiem prosto w oczy napastnika.

Natychmiast zapanowały nieprzeniknione ciemności. Zniknęły

gwiazdy, światła z okien pobliskich chat. Nie czekając na reakcję Traversa, Martin uskoczył na bok i pospiesznie wyjął z kieszeni różdżkę.

— To nie było mądre! — warknął wściekle Travers i rozległ się świst rzucanych przez niego zaklęć. Martin pomyślał, że pora wiać. Zdał sobie jednak sprawę, że zanim ucieknie dostatecznie daleko magiczny proszek przestanie działać. Zaczął gorączkowo szukać w pamięci zaklęć, które mogą mu się teraz przydać. Nagle poczuł jak coś rozrywa jego ramię, które wybucha palącym żarem. Kiedy zawył z bólu, ciemności ustąpiły. *Oberwałem*, pomyślał. Nie było jednak czasu na uzalanie się nad sobą. Napastnik już go dostrzegł i przystąpił do ataku.

— *Protego! Protego!* — zawołał Martin, z trudem wyczarowując tarczę ochronną przed sobą. Ta jednak szybko pękła pod naporem zaklęć rzucanych przez Traversa. Zaciskając zęby z bólu, przeturlał się po błocie, wyciągnął pospiesznie różdżkę i ponownie wyczarował nikłą tarczę ochronną. Niestety przeciwnik był szybszy.

— *CRUCIO!*

Klątwa Traversa uderzyła w Martina z impetem, zanim tarcza zdołała się pojawić.

Mężczyzna poczuł tak potworny ból, jakiego nigdy dotąd w życiu nie doświadczył. Kości zapłonęły mu żarem, głowa pękała na pół. Ciało dziurawiły setki ostrzy. Zaczął się wściekle miotać i wrzeszczeć. Poczuł, że powoli traci przytomność. *I dobrze... Niech to już się po prostu skończy...*

Niestety, ze stanu półświadomości wyrwał go szyderczy śmiech Traversa.

— Wystarczy — stwierdził z rozbawieniem, zdejmując działanie klątwy. Martin jęknął z bólu. Chociaż kości mu już nie płonęły, bolał go niemal każdy cal jego ciała. Z rany na ramieniu zaczęła obficie sączyć się krew.

— Naprawdę sądziłeś, że jakiś nędzny mugol ma szanse w starciu ze śmierciożercą? — zakpił z niego Travers, pochylając się nad swoją ofiarą.

— Nie jestem... mugolem... — jęknął w odpowiedzi Martin. Travers ponownie się zaśmiał. Jednym machnięciem różdżki przywołał do siebie zmieniacz czasu, który błyskawicznie wyleciał z kieszeni płaszcza Martina.

— Po co ci on? — spytał ranny czarodziej, za wszelką cenę starając się zachować przytomność. Travers obdarzył go pełnym zadowolenia spojrzeniem.

— Powiedzmy, że zmieniacz czasu pozwoli mi przekuć moją największą porażkę w moment chwały — odrzekł uradowany i po chwili dodał: — Wiesz... w zasadzie zamierzałem cię zabić. Ale tak bardzo poprawiłeś mi nastrój, że chyba okażę ci łaskę. Z resztą i tak pewnie zaraz zdechniesz...

Martin nic nie odpowiedział. Zaczęło kręcić mu się w głowie.

— Żegnaj, mugolu! — zawołał Travers i przy trzasku łamanej gałązki rozplynął się w powietrzu.